

Marcin Wolski poleca:

Dziki Ziemia

(recenzja ukazała się na łamach "Gazety Polskiej")

Literatura podróży nie cieszy się dziś szczególnym zainteresowaniem. Dawno minęły czasy, kiedy każdy kolejny tom z serii "Dookoła świata" ("Zdobycie Mont Everestu", "Aku-Aku" czy "Zielone piekło") wywoływał u młodych czytelników łomotanie serca. Wiat przybliżył się na wyciągniętej rękę z pilotem, zmalał do rozmiaru telewizyjnego ekranu, szerokokadłubowe samoloty dolatują do najdalszych zakątków globu, by nawet taki mieszcuch jak ja mógł bez większych trudności (i za rozsądnych cen) postawić stop na Wyspie Wielkanocnej, na Galapagos czy u stóp wodospadów Iguassu. Ostatnie białe plamy zostały wywabione z map przez fotografie satelitarne. Miłośnicy sportów ekstremalnych mają do dyspozycji sztuczne ściany wspinaczkowe i skoki na bungee.

A jednak zdarzają się nieliczni, którzy nawet w tym świecie, gdzie na każdym rogu bankomat, a w co drugim miasteczku McDonalds, szukają wielkiej przygody. Niektórzy nawet ją znajdują. Należy do nich niewątpliwie Wojciech Cejrowski, swego czasu okrzyknięty przez "Gazetę Wyborczą" "brunatnym kowbojem III RP". Ktoś kto po kolumbijskiej dżungli rozejrzył się od jadowitych węży potrafił chodzić bosy, stołował się u Indian i żył (przynajmniej jakiś czas) życiem ostatnich dzikusów. Legendy o jego niezwykłych podróżach krążyły na długo, zanim opisał swój pobyt w dżungli w książce "Rio Anaconda".

Dzieło nie przypomina pocziwych opowiadań Arkadego Fiedlera; składa się z pamiętnika o poszarpanej strukturze i fascynujących insertów - kolumbijskiego vademecum: o zwyczajach wężów, życiu seksualnym dzikich, kolumbijskiej partyzantce, produkcji kokainy, indiańskich szamanach, rytach plemiennych czy fizyce czarów.

Dziękuję fascynującym dialogom autora z Angelinem - tajemniczym szamanem plemienia Carapana, mamy możliwość wniknięcia w psychikę Indian, zazwyczaj niechętnie odsłanianą przed białym człowiekiem. Historia pobytu na Dzikich Ziemiach wśród nietkniętych cywilizacji tubylców, wszystko to, co zdarzyło się po "upolowaniu" Cejrowskiego za pomocą zatrutej strzały z dmuchawki, wydaje się fikcją literacką. Osady odcięte od świata, bez kontaktu z globalnym światem, czary na jawie, potem niezwykle powrót do rzeczywistości - czy to miało prawo się zdarzyć? Zwłaszcza że autor zdecydował się zniszczyć dowody, fotografie właśnie z tego epizodu. Mimo wszystko mogło!

W czasie swoich podróży spotkałem na Nowej Gwinei polskiego księdza, ojca Bogdana, który opowiadając o swej posłudze duszpasterskiej, wspominał, jak dotarł na krańce świata. Tam gdzie przed nim nie był nikt. Na wyciągniętej rękę znajdowała się wioska i ludzie nie wiadomi istnienia reszty globu... Ojciec Bogdan zawrócił, uznał, że wyciągniętych ludzi w obrębie cywilizacji to za wielką odpowiedzialność, że nie potrafiłby otoczyć ich opieką. Może i tu było podobnie. Jeśli Cejrowski coś zmyślił, zrobił to genialnie, jeśli zapisał wiernie swoje doznania, może na mu tylko zazdrości.

Amerykańska selwa, zielona, wyszczerbiona już niestety płucem świata, jest miejscem fascynującym, dzikim, okrutnym, przerażającym. Od pierwszej chwili, kiedy z samolotu oglądasz bezmiar zieleni, ciętych łożyskami meandrami rzek. A potem kiedy idziesz przez dżunglę w letnim deszczu (lepiej w deszczu, bo w powietrzu nie ma robactwa), kiedy spotykasz motyle, kolibry i orchidee, a noc wsluchujesz się w jej muzykę - masz świadomość, że obcuje z prawdą i nie zapomnisz tego do końca życia.

Wiat współczesny, zhomogenizowany, zdezynfekowany i poprawny politycznie, w dniach z powodu braku nowych wrażeń, innych doświadczeń, odmiennych emocji. Podróż Cejrowskiego nad Rio Anaconda nie przypomina wyprawy Indiany Jonesa, ale może właśnie dlatego sprawia tak ożywcze wrażenie.